

WALKA o NOWE

Rozmowa z dr. Sergiuszem Machoninem
 — redaktorem „Literarnich Novin”

Szybkoieżna winda wywio-
 zła nas na 30 piętro Pała-
 cu Kultury. Po raz pierwszy
 patrzymy stąd na panoramę
 Warszawy i — trudno ukryć:
 jesteśmy rozczerwieni. Tyle je-
 szcze widać stąd ruin! Tak bez-
 wstydnie odsłaniają się pod-
 wórka-studnie, podwórka-smiet-
 niki Siennej, Panskiej, Chmiel-
 nej... Tak nieprzyjemnie wy-
 glądają czerwone, nie otylko-
 wane jeszcze bloki Pragi i Gro-
 chowa... Jeden tylko uczestnik
 wieczki biega z nieklamany
 zachwytem od balustrady do
 balustrady i agituje nas „za
 pięknem stolicy”.

Owym entuzjastą jest Czech,
 dr Sergiusz Machonin, redak-
 tor „Literarnich Novin”, dra-
 maturg, publicysta, tłumacz z
 języka polskiego i krytyk lite-
 racki w jednej osobie. Przyje-
 chał do Warszawy, by w związku
 z Tygodniem Przyjaźni
 Czechosłowacko-Polskiej zorga-
 nizować „polski numer” swoje-
 go pisma, po czym „Nowa Kul-
 tura” wyda w zamian numer
 specjalny, poświęcony zagad-
 niom literackim w CSR.

W kawiarni rozmawia się
 wygodniej niż na 30 piętrze.
 Tematem jest jednak w dals-
 szym ciągu Warszawa.

W waszej budowie i odbudowie
 szczególnie uderza mnie fakt —
 mówi znakomita polszczyzna dr
 Machonin — że ludzie w War-
 szawie dźwigają się razem z
 murami i z równym trudem, co
 mury. Mówi się powszechnie,
 że w myślach i uczuciach na-
 szych pokoleń pokutują resztki
 starego. Te „resztki” wydają

mi się sformułowaniem co naj-
 mniej nieprecyzyjnym. Wiele,
 bardzo wiele jest jeszcze tego
 starego. Mocne i wzięte pa-
 zurami jak pies. I wydaje mi
 się, że owa uparta walka ze
 starym, dźwiganie się wzwyż,
 że te głębokie myślowe i uczu-
 ciowe procesy, które widać u
 każdego warszawiaka, odbija-
 ją się wyraźnie na współczes-
 nej polskiej kulturze, na zjawis-
 kach kulturalnych, które —
 jako że to „po fachu” — inte-
 resują mnie najbardziej. Byłem
 zdumiony: przyjechałem do
 Warszawy, rozejrzałem się tro-
 chę i oto, co rzuca się od razu
 w oczy: wszędzie, gdziekolwiek
 człowiek przyjdzie — spór, ście-
 ranie się poglądów, ferment.
 Wiersz Ważyka — spór; Wy-
 stawa Młodej Plastyki — spór;
 Pałac Kultury — jeśli już nie
 spór, to na pewno ostra dysku-
 sja; kreacja Eichlerówny w
 teatrze: jeden z towarzyszy
 krzyczy „cudowne”, drugi krzy-
 wi się najwyraźniej.

Mnie, cudzoziemcowi, nie
 wypada się wtrącać i niełatwo
 jest zająć stanowisko w tych
 wszystkich sporach, ale jedno
 wiem na pewno: wszystkie one
 świadczą, że w polskim życiu,
 w polskiej kulturze bardzo ży-
 wo i uparcie zaczęto intereso-
 wać się losem, poglądami, oso-
 bistym zdaniem każdego czło-
 wieka. Już nie mówimy — bo
 i u nas przebiega proces podob-
 ny — że „człowiek to brzmie
 dumnie” i że „bez człowieka nie
 można”; przestaliśmy abstrak-
 cyjnie pojmować hasło huma-
 nizmu socjalistycznego: zaczy-

nam wypełniać je treścią. Te-
 go nie robi się w życiu i w li-
 teraturze — jeśli nie przeciw-
 stawia się sobie jasno i ostro
 różnych punktów widzenia.
 Przyjmować gotowe hasła —
 bez sporów, bez dyskusji, mar-
 two i mechanicznie — to zna-
 czy nie myśleć. Do niedawna
 my i wy popełnialiśmy ten sam
 błąd: ucąc się dialektyki, stu-
 diując marksizm i zachwycając
 się marksistowską metodą ba-
 dań — nie posługiwaliśmy się
 nią we właściwy sposób w prak-
 tyce.

Prosimy dr. Machonina, aby
 nam jednak przedstawił swoje
 osobiste stanowisko w sporach,
 na które się u nas natknął.
 Uśmiecha się dyplomatycznie i
 zaczyna od tego, co go najbar-
 dziej interesuje, jako drama-
 turga:

— Muszę powiedzieć, że je-
 stem zaintrygowany dwiema
 rzeczami teatralnymi: „Ostrym
 dyżurem” Lutowskiego i scen-
 ką Grodzieńskiej w Teatrze
 Satyryków — „Pani dyrekto-
 rowa”. Problemy postawiono tu
 ostro, wyciągnięto sprawy dra-
 liwe... (Ostatnio w Pradze rów-
 nież weszły na scenę duże sztuki
 o podobnej problematyce). Sztuka
 dobija się tu konkretnie
 prawdy nie przez umniejsza-
 nie i ukrywanie konfliktów,
 ale ich uzewnętrznianie. Saty-
 ra Grodzieńskiej mówi, że ma-
 my i swoje „socjalistyczne
 świństwo”, „swoją” kolekcję
 negatywnych bohaterów; mamy
 zło, które nie jest pozostałością
 starego, ale które zrodziła
 nasza rzeczywistość. Lutowski
 porusza problem człowieka o
 tzw. „przesłości z haczykiem”
 i problem stosunku aktywno-
 partyjnego do ludzi, którzy w
 przeszłości błędzili...

Ciężkie to sprawy, bolesne.
 Ale autor, nie deklarując ni-
 czego, przepełnił swoją sztukę
 taką miłością do człowieka, do
 kraju, w którym się te bolesne
 rzeczy dzieją, że jesteśmy prze-
 świadczeni: pozytywne siły spo-
 łeczeństwa wygrały w końcu
 ten wielki historyczny spór.
 Przy czym Lutowski nie roz-
 strzyga sporu w zastępstwie
 widza, ale zmusza go do wyda-
 nia własnego sądu, do myśle-
 nia.

Dr Machonin jest krytykiem
 sztuki; prosimy go przede-
 tym opowiedzieć o swoich wra-
 żeniach z Wystawy Młodej Pla-
 styki.

Wystawa Młodej Plastyki —
 mówi żywo — wydaje mi się
 jeszcze jednym zjawiskiem, od-
 zwierciedlającym nową tenden-
 cję w polskim życiu kultural-
 nym: oczyścić myśl ze sztam-
 py, ze skostnienia, szukać, kon-
 frontować różne punkty wide-
 nia. Nie zgadzam się oczywiście
 z wieloma pracami widzia-
 nymi na Wystawie. Ale nie po-
 wiem, jak kilku moich kolegów
 bawiących tu w czasie Festi-
 wału, że „to koszmarnie i okro-
 pnie, bezideowość i nawrót
 do formalizmu”.

Młoda Plastyka daje wyraz
 protestu przeciw temu, co do-
 minowało dotychczas w naszej
 plastyce, dziesięciolecie — to
 sprawa pierwsza. Ale protest
 rozszczepia się na dwa nurty.
 Bywa, że wyraża się on tylko
 w zachwycie dla deformacji,
 koloru, efektu, sankcjonowania
 kuglarskich sztuczek. Przykła-
 dem takich obrazów jest dla
 mnie osobiście „Groteska” i
 „Dzieci przed akwariem”. Wi-
 dać tu, niestety, że w centrum
 zainteresowania artysty leży
 niemłoda istota ludzka i jej
 proces poznawczy, ale „dziwno-
 ści” akwariów.

Chociaż w Polsce podejrze-
 wają wszystkich Czechów o na-
 turalizm — śmieje się dr Ma-
 chonin — najbardziej podoba
 mi się to, że znalazłem na Wy-
 stawie wyraz rzetelnej, żarli-
 wej walki przeciwko naturaliz-
 mowi w sztuce. Znalazłem tu
 walkę o sztukę pełną myśli,
 poezji, pragnącą wyrazić współ-
 czesnego człowieka.

Powracamy jeszcze do chwili
 wspólnego zwiedzania Pałacu.

— Pilnie przysłuchiwałem
 się sądom zwiedzających —
 mówi dr Machonin. — Wydaje
 mi się, że nie chodzi tu o pry-
 watne gusty tego czy innego
 człowieka, ale o sprawę znacz-
 nie ważniejszą: o proces rodze-
 nia się norm estetycznych no-
 wej epoki, które powstają m.
 in. podczas takich właśnie dy-
 skusji przy zwiedzaniu Pałacu.

Rozmowę przeprowadziła
 LIDIA DAMM



Góry urzekają



Turyści

Kierunek uderzenia angielskiego rolnictwa

Dużo mówi się u nas ostat-
 nio na tematy rolnictwa. Nie
 mamy jeszcze potrzebnych
 nam ilości mięsa i zboża, zda-
 rza się, że brak niekiedy na
 rynku w dostatecznych ilo-
 ściach innych produktów ro-
 lnych, np. tłuszczów zwierze-
 cych. Aby sytuację poprawić,
 partia i rząd podejmują z ka-
 żdym rokiem coraz większe wy-
 siłki celem zmniejszenia zaco-
 fania naszej gospodarki rolnej.
 Bo faktem jest, że jakkolwiek
 pod względem potencjału prze-
 mysłowego kraj nasz w okre-
 sie minionego dziesięciolecia
 dopędził i prześcignął wiele
 państw europejskich, to jed-
 nak w rolnictwie postęp ten
 jest stosunkowo za mały.

Warto więc zapoznać się z
 poglądami i doświadczeniami
 uczonych i rolników tych kra-
 jów, od których niejednej rze-
 czy możemy się nauczyć. Na-
 darza się po temu sposobność,
 bo oto przewodniczący delega-
 cji radzieckich rolników —
 która niedawno odwiedziła
 Anglię i Szkocję — minister
 sochozów ZSRR — I. Benediktow
 dzieli się na łamach
 moskiewskich „Izwestii” wra-
 żeniami z tej podróży. Poni-
 żej podajemy streszczenie jego
 relacji:

W Anglii przeważają gospo-
 darstwa typu farmer-
 skiego, z których 60 proc. po-
 siada mniej niż 20 hektarów
 ziemi. Oczywiście rozdrobnie-
 nie rolnictwa utrudnia wyko-
 rzystanie nowoczesnego sprzę-
 tu technicznego. Angielski
 ekonomista Green doszedł do
 wniosku, że maksymalnie wy-
 korzystać będzie można środ-
 ki mechanizacji rolnictwa w
 Anglii, jeśli stworzy się gos-
 podarstwa o obszarze nie
 mniejszym niż 160 hektarów
 (przeciętny areal uprawy spół-
 dzielni produkcyjnych w Pol-
 sce — przyp. red.).

Ponieważ Anglia tylko w po-
 łowie pokrywa swoje zapotrze-
 bowanie na produkty rolne,
 czyni się tam starania o za-
 chęcenie rolników do jak naj-
 bardziej intensywnej produk-
 cji. „Anglicy obliczają — pi-
 sze min. Benediktow, — że
 sprzęt pszenicy kombajnami

1 hektara powinien pochla-
 niać najwyżej 40 godzin ro-
 boczych, sprzęt ziemniaków
 400 godzin roboczych. W ho-
 dowli bydła jeden robotnik
 ma pod opieką 20—30 mlecz-
 nych krów, w hodowli świń
 bekonowych oblicza się na
 wychów i utuczenie jednej
 sztuki 20 roboczogodzin.”

Technika na polach

Rolnictwo angielskie dobrze
 jest wyposażone we współcze-
 sną technikę. Pozwala to na
 przeprowadzenie prac polo-
 wych w bardzo krótkich ter-
 minach — z zachowaniem naj-
 wyższej jakości obróbki gle-
 by. Liczba traktorów, spośród
 których najbardziej rozpo-
 wszechnione są traktory kolo-
 we, o mocy 25—40 KM, w
 porównaniu z okresem przed-
 wojennym wzrosła i wynosi
 około 400 tys. Ponieważ wię-
 kszosc prac transportowych
 rolnicy angielscy wykonują
 przy pomocy traktorów, prze-
 myśl produkuje wielkie ilości
 przyczepek traktorowych na

(Dokończenie na str. 2)

Utwory Czechowa na taśmie filmowej



W roku czechowowskim, obcho-
 dzonym z okazji 50 rocznicy śmier-
 ci wielkiego pisarza, powstało w
 Związku Radzieckim wiele nowych
 filmów, opartych na utworach Cze-
 chowa, między innymi „Szwedzka
 zapalka”, „Broszka”, „Paniusie”,
 „Na letnisku” oraz „Nieprawie dzie-
 cko”. Cztery ostatnie z wymienionych
 powyżej tytułów, zobaczymy w fi-
 lmowej składance, będącej jedną z
 czołowych pozycji tegorocznego Fe-
 stiwału Filmów Radzieckich.

„Broszka” — to sfilmowana nowe-
 la Czechowa pt. „Piropołoch”. Opo-
 wiadając o losach młodziutkiej gu-
 bernantki z arystokratycznego do-
 mu, film odtwarza perfidię i zakła-
 manie sfer mieszczańskich oraz ich
 lekceważący stosunek do ludzi nie
 należących do ich sfery.

W rolach głównych występują ar-
 tyści moskiewskiego Teatru Małego.
 Na zdjęciu: jedna ze scen filmu.
 (uch)

Czy Marsjanie nadają SYGNAŁY DLA ZIEMI?

17 września Towarzystwo Geo-
 graficzne Stanów Zjednoczo-
 nych ogłosiło komunikat, że na
 planecie Mars astronom dr E.
 C. Slipher dostrzegł nieoczeki-
 wanie wielką zielonkawo-nie-
 bleską plamę. Widną ją koło
 wielkiego „kanału” Toth. Przy-
 roda Marsa, pełna zagadek, za-
 prząta od dawna uwagę uczo-
 nych i publiczności. Problem
 życia organicznego na Marsie,
 pobytu tam istot rozumnych, a
 nawet domysł wysyłania przez
 nie sygnałów we Wszechświecie —
 daleki jest jeszcze ciągle od
 rozstrzygnięcia. W związku z o-
 statnim odkryciem zamieszczamy
 poniższy artykuł, zdający
 sprawę z najciekawszych pro-
 blemów Marsa.

Myśliciel włoski Giordano Bruno
 z XVI wieku, chluba Rene-
 sansu, w porównującym swym dzie-
 le: „Dell'infinito universo e mondo”
 wystąpił z tezą istnienia wielu sy-
 stemów słonecznych i domysłem
 istnienia życia również — poza
 Ziemią. Jak wiadomo — popadł za
 to w konflikt z Inkwizycją.

JESZCZE O ZAGADCE „KANA-
 ŁÓW”

Idee Giordano Bruno odżyły w
 XIX wieku w miarę osiągnięć astro-

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

nomii. Jak opowiemy niżej, naj-
 bliższą nam planetą „zewnętrzną”
 Mars stała się centrum zaintereso-
 wania badaczy. Dostrzeżone re-
 gularne linie, nazwane „kanalami”
 Marsa, pobudziły wyobraźnię uczo-
 nych. „Kanały” te w liczbie około
 600 przypisywać zaczęto istotom
 rozumnym, walczącym prawdopo-
 dobnie ze srogą marsjańską przy-
 rodą. Szerokość „kanałów” od 30
 do ponad 300 kilometrów, długość
 do 6000 kilometrów mogła świad-
 czyć o gigantycznej wprost tech-
 nicy domniemanych „mieszkańców
 Marsa”. Współczesne przyrządy ob-
 serwacyjne ujawniają na Marsie
 obiekty wielkości już 30 kilome-
 trów, więc na pozór wykluczona
 jest halucynacja. Ale przeliczenie
 sieci „kanałów” Marsa na stosunki
 ziemskie daje nam niewyobraźną
 liczbę: 200 tysięcy kilometrów
 kich. Oznacza to więc tysiącletnią
 pracę ówczesnej ludzkiej ręki.
 Kiedy dalej w roku 1892 w
 rejonie Tempe i Noachis (z inicy-
 tywy słynnego badacza Marsa,
 Schiaparelliego topograficzne na-
 zwany na Marsie są klasycznego po-
 chodzenia) zaobserwowano jasną
 plamę „sygnał”, wzięto ją za próbę
 skomunikowania się Marsjan z naj-
 bliższym sąsiadem — Ziemią. Czy
 miał to być sygnał istnienia, czy
 apel o pomoc z Ziemi, czy mar-
 sjański eksperyment atomowy ty-
 pu „Bikini” nie będziemy tu do-
 ciekają, gdyż chcemy właśnie spra-
 wę Marsa z rozmiarów fantastycz-
 nej sensacji sprowadzić do właści-
 wych rozmiarów naukowego obiek-
 tywizmu.

POROZMAWIAJMY POWAŻNIE

Słońce stanowi, jak wiadomo,
 centrum naszego układu planeta-
 rnego. Najbliższe obiegają je po
 swych orbitach planety Merkury
 i Wenus, czyli Jutrzenka. Trzecia
 z kolei — to Ziemia. Czwarta, a
 pierwsza z planet „zewnętrznych”,
 to właśnie planeta Mars. Promień
 Marsa to tylko 3400 km, a więc po-
 łowa tego, co Ziemia. Nasz „sasiad”
 jest więc mniejszy i, co jest do
 przewidzenia, ma też mniejszą ma-
 sę. Dziesięć Marsów to dopiero ma-
 sa Ziemi, wynosząca... 6 tysięcy
 trylionów ton.

Z przeliczeń fizycznych wynika,
 że ciężar ciał na Marsie jest około
 trzy razy mniejszy niż na Ziemi.
 Rekord skoku wzwyż na Marsie
 wyniosłby: 6 m, rekord skoku o-
 tycznie: 15 m.
 Co do „fizjonomii” Marsa, to wi-
 dzimy go jako czerwonawą „gwiaz-

de” (rzeczywiście nie jest gwiazdą,
 lecz planetą). Krwawe zabarwienie
 tarczy zrodziło nazwę Marsa, który
 u starożytnych był bogiem wojny.
 Dzień na Marsie, inaczej niż rok,
 jest prawie taki sam jak na Ziemi:
 24 godziny: tak długo bowiem trwa
 jego obrót naokoło własnej osi.
 Pory roku takie jak u nas, z tym,
 że dłuższe. Wiosna trwa prawie 200
 dni, lato około 180. Sroższa niż na
 Ziemi przyroda psuje jednak ten
 obraz sielanki. Słońce, bardziej od-
 ległe, promieniuje dwa i pół razu
 słabiej, temperatura średnia około
 zera stopni), a więc są to warunki
 nad wyraz ciężkie, choć znośne dla
 życia organicznego.

Atmosfera z obecnością wody,
 bardzo rzadka. Dostrzegamy na
 Marsie i chmury, jednak w postaci
 tylko lekkich mgieł. Zdać się, że
 panują tam nierzaz i śnieżyce. Astro-
 nom Very dowiódł istnienia tlenu
 w atmosferze Marsa. Określona
 temperatura, woda i tlen — to pod-
 stawy i warunki życia. Jest więc
 ono na Marsie ze stanowiska nauki
 — możliwe.

ALE STAJEMY WOBEC ZAGADEK

Żadna z planet nie pozwala na
 bliższą obserwację niż Mars, stąd
 wiedza nasza o nim jest całkiem
 bogata. „Utwory” widziane na Mar-
 sie są jednak diametralnie inne od
 księżycowych. „Srebrny glob” na-
 szego satelity jest głuchy i martwy,
 panuje na nim zastój form od pra-
 czasu. Inaczej na Marsie. „Utwory”
 zmieniają swój wygląd w czasie,
 nawet wprost — w oczach. Koloryt
 powierzchni Marsa czerwonoawo-
 zółty uderza wprawę ciemnymi
 plamami. Nazywamy je „morzami”
 lub „jeziorami”. Mapy Marsa wy-
 konane przez Flammariona i Schia-
 parelliego, dokumentowane mate-
 rialem obserwacyjnym z dwóch
 już stuleci, to obrazy pasjonujące
 bogactwem szczegółów. „Morza”
 marsjańskie, to zaledwie trzecia
 część powierzchni. Koło biegunów
 zalegają plamy białe. Kurczenie
 się ich wiosną i latem daje pod-
 stawę do przypuszczenia, że są to
 lodowce i śniegi. Trzeba tu dodać,
 że według współczesnej astrobotani-
 ki „morza” marsjańskie, to zbio-
 rowiska bardzo prymitywnej i
 słabość zabarwionej roślinności.
 Sygnalizowana na wstępie plama —

(Ciąg dalszy na str. 3)

Kierunek uderzenia angielskiego rolnictwa

(Dokończenie ze str. 1)

kołach ogumionych z urządzeniami samowyladowczymi.

Produkuje się tam traktory wyposażone w wiele niezbędnych maszyn i narzędzi rolniczych oraz urządzeń transportowych i załadunkowych. Jedną z większych fabryk np. wypuszcza traktory z zespołem 45 różnych mechanizmów, w większości nawieszanych na traktor. Wśród członków delegacji — wskazuje min. Benediktow — wielkie zainteresowanie wywołał dołownik, spychacz, kołowrót z kotwicą (pozwała on zwiększyć siłę pociągową traktora do 2700 kg), kadź do przewożenia betonu, żuraw, rozrząsacz do nawozów, przyczepy do transportu, podnośnik do buraków, młotkowna kruszarka do paszy, walec kolczasty i inne.

Informator „Farma jako przedsiębiorstwo dochodowe” podaje, że dzięki intensywniej mechanizacji prac rolnych urodzaj podstawowych upraw w r. 1953 w Anglii przeciętnie wynosił: pszenicy — 30,4 q z hektara, ziemniaków — 232 q, buraków cukrowych — 327 q. Stosunkowo duże urodzaje tych upraw osiąga się przez staranną obróbkę ziemi — bronowanie, sprzężowanie i walowanie oraz dzięki obfitemu używaniu gley nawozami organicznymi i mineralnymi, właściwym płodozmianom oraz regularnemu używaniu środków chemicznych w walce z chorobami roślin i szkodnikami.

Gospodarstwa rolne w Anglii w głównej mierze nastawione są na rozwój hodowli. Na szczególną uwagę zasługują jerseyjska rasa krów, wyróżniająca się wysokim procentem tłuszczu w mleku, dochodzącym do 5—6 proc.

Od dawna słynie Anglia z produkcji wysokogatunkowych bekoni. Rolnicy tamtejsi nie stosują w ogóle dokarmiania prosiąt mlekiem krowim. Podstawowym pokarmem dla prosiąt jest specjalna mieszanka, w której skład wchodzi białko, substancje mineralne i witaminy. Ubój świń bekoniowych dokonywany jest wówczas, gdy mają one 6—7 miesięcy i osiągną wagę 90—95 kg. Pozwala to na znaczną oszczędność paszy i najracjonalniejsze wykorzystanie pomieszczeń.

Mechanizacja w kurnikach

W angielskich farmach hoduje się około 92 miliony sztuk drobiu, przede wszystkim kur. Młode ptactwo umieszcza się w lekkich przenośnych kurnikach. W kurnikach takich, bez dachu i podłogi, pokrytych drucianą siatką, mieści się 25—45 sztuk ptactwa. Rozstawia się je w szachownicę na polu i przesuwa codziennie z miejsca na miejsce. Korzyść jest podwójna: ptactwo ma pokarm, a gleba uzyskuje nawóz. Kury - noski umieszcza się w klatkach. Har mienie ptactwa w większości odbywa się mechanicznie przy zastosowaniu stałe ruchomej taśmy z pokarmem oraz urządzenia do usuwania nawozu. Przy systemie tym jeden człowiek obsługuje może 2—4 tys. sztuk drobiu.

Przy wypasie bydła angielscy farmerzy nie zatrudniają w ogóle pastuchów. Wykorzystują oni specjalnie tresowane psy — szkodliwe owczarki oraz „pastucha elektrycznego”, czyli przenośne urządzenie z drutu, po którym przepływa prąd elektryczny. Bydło zjada dzięki temu większość pasz zielonych i soczystych bezpośrednio na polu. Daje to duże oszczędności pracy przy hodowli, a zwierzętom zapewnia pokarm wysokiej jakości. Bardzo wyraźnie — warto to podkreślić — przejawia się w gospodarstwach angielskich tendencja, aby jak najmniej dostawiać bydło pokarmu i zmuszać je, aby samo pokarm ten odnajdywało, co poprawia zdrowotność inwentarza.

„Materiały na temat doświadczeń farmerów angielskich zebrane przez delegację rolników radzieckich — pisze min. I. Benediktow — osiągnięcia naukowych instytucji rolniczych i zakładów przemysłowych, powinny przynieść pożytek naszemu uczonym i praktykom.”

Opr. Tad. K.



Radośnie obchodzono tegoroczne „Dni Winobrania” w Zielonej Górze. Tysiące gości z całego kraju oklaskiwało różnobarwny korowód przeciągający ulicami miasta. Wesoło również bawiono się na festynach i zabawach ludowych.

Na zdjęciu: podczas festynu dużym powodzeniem cieszyło się stoisko Lubuskiej Wytwórni Win.

CAF — Fot. Pińkowski

A. Barsilio

Korespondencja z Włoch

BUNT WYDZIEDZICZONYCH

Reggio Calabria, we wrześniu

Jesteśmy na samym szpicie włoskiego „buta”. Słońce praży niełitościwie, wypala ostatnie żółtą trawę na nagich wzgórzach. Czekamy cierpliwie przed zamkniętym szlabanem. Dookoła nie widać żywego ducha. Okolica robi wrażenie strefy objętej stanem oblężenia.

Sprawdziwszy nasze dokumenty, karabinierzy pozwalają nam jechać dalej, rozpylając się w przeproszeniach. Są nieprawdopodobnie zmęczeni, spoceni, pokryci kurzem. Żegnamy ich i ruszamy do Reggio Calabria — stąd już o „dwa kroki”. Wzdłuż szosy znowu karabinierzy, zamknięte szlabany, sprawdzanie papierów. Na przebiecie trzydziestu kilometrów samochodem zużywamy trzy godziny.

BRAK BENZYNY TEŻ NIE POMAGA

Wreszcie dojeżdżamy do Reggio i pytamy o wyniki „operacji Marzano”. Nic nowego, aresztowano jeszcze 9 osób podejrzanych o kontakty z 200 bandytami, którzy grasują w rejonie masywu górskiego Aspromonte, czyli prowincji Reggio.

Oblawa na wielką skalę rozpoczęła się przed dziesięciu dniami pod kierownictwem szefa policji prowincji Reggio, doktora Pietro Sciabica, zwanego Pietro Benzina, ponieważ stale żądał benzyny od swoich rzymskich zwierzchników, nie otrzymując jej zresztą nigdy w wystarczającej ilości. Po nim sprawę ujął w swoje ręce inspektor „Pubblica Sicurezza” — „bezpieczeństwa publicznego” — Carmelo Marzano. Tym razem dano mu do dyspozycji wszelkie możliwe środki: benzynę, ile dusza zapragnie, a na wet psy policyjne. Mimo to Marzano nie okazał się szczególnie skuteczny, co trudno mu mieć za złe, po prostu dlatego, że, o ile mogłem się dowiedzieć, do dziś nie miał sposobności zmierzyć swych potężnych sił z przeciwnikiem. Po bandytach nie znaleziono ani śladu.

GLEBSZE PRZYCZYNY BANDYTYZMU

Czyżby znikli? Na pewno nie. Rzecz w tym, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem o specyficznym charakterze, zgola odmiennym od bandytyzmu syberyjskiego, osławionego przez smutną pamięć Giuliana i Pisciottę. W Kalabrii nie ma zbrojnych band, tylko gromady złodziei, którzy łatwo znajdują kryjówki w górach Aspromonte i równie łatwo uzyskują pomoc i poparcie ze strony naboższej ludności tutejszej, która nigdy nie zaznała sprawiedliwości od przedstawicieli porządku publicznego i dla której pojęcie państwa jest tylko sy-

nonimem podatków, służby woj skowej i innych serwitutów.

W prowincji Reggio Calabria na 200 000 ludności przypada smutna armia 50 000 bezrobotnych. Podobnie jak na całym południu Włoch, ludność żyje tu głównie z rolnictwa. O jej sytuacji zaś wiele powie nam fakt, że w samym Aspromonte, czyli w strefie operacyjnej bandytów, na 64 000 ha ziemi uprawnej 33 000 ha należy do 26 wielkich majątków, a reszta podzielona jest pomiędzy dziesiątki tysięcy drobnych właścicieli i dzierżawców, których ziemia nie jest w stanie wyżywić. Powoduje to naturalnie stały odpływ ludności ze wsi do miasta, zwiększenie bezrobocia w ośrodkach miejskich, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

JAK NA WOJNIE IMPERIALISTYCZNEJ...

Jedną z najpoważniejszych konsekwencji tego stanu rzeczy są rozpowszechnione wśród robotników w ostatnich czasach wypadki umyślnego kalectwa się. Związka budowlani, gdy zbliża się termin wygaśnięcia ich umowy o pracę, przerażeni widmem głodu i bezrobocia, sami kalectwa się, a niejednokrotnie przyprowadzają o stałe kalectwo, bądź umyślnie spadając z rusztowania, bądź raniąc się narzędziami pracy, aby otrzymać nędzny miesięczny zasiłek Opieki Społecznej, który wystarczy im przynajmniej od czasu do czasu na kawałek chleba.

W ostatnich czasach istotnie wzrosła przestępczość, ale trze-

ba być ślepym, albo nie chcieć widzieć, że nędza popycha tych ludzi na drogę występku. Nie ma tu zbrojnych band, lecz odosobnione wypadki kradzieży lub roboju, w których na pierwszy rzut oka widać brak organizacji. Zamachy zresztą rzadko bywają uwieńczone sukcesem, przeciwnie, świadczą o wielkiej naiwności tego buntu przeciwko nieznosnym warunkom życia.

PRAWDA

O ZWYKŁYM CZŁOWIEKU

Spróbujcie porozmawiać z pierwszym napotkanym tu człowiekiem, byleby nie był wielkim obszarnikiem, i zapytajcie go, jakimi środkami należy, jego zdaniem, zwalczać bandytyzm, a zawsze usłyszycie tę samą odpowiedź: trzeba ludziom dać ziemię i pracę.

Ale ziemia jest w rękach właścicieli latyfundiów, którzy są solidnie reprezentowani w rządzie i wyrzucają ministrowi Segni nawet te namiastki reformy rolnej, która nosi jego imię. A praca jest w rękach potentatów wielkiego kapitału, również mających mocne oparcie w rządzie. Rząd zaś, zamiast dać chłopom kalabryjskim ziemię i pracę, wysłał do Reggio oddziały policji.

Ognia jednak nie ugasa! Skryje się on raz jeszcze pod popiołami, ale nie przestanie się tlić, dopóki przemoc nie ustąpi sprawiedliwości, to znaczy, dopóki siły wolności i postępu nie zwyciężą sił reakcji.

A. BARSILIO

Uwagi nad „Rękopisem dla wnuków”

Przed niewielu dniami na półkach księgarskich ukazała się książka w sposób gawędziarski traktująca o pobycie Adama Mickiewicza na naszym terenie. Jest to trzecia, lecz najobszerniejsza książka o tym okresie życia naszego Wieszcz. Pierwsza ukazała się w roku 1932 jako nr 10 Kroniki Gostyńskiej — pisma Józefa Ostrowskiego. Na niej też oparł się dr B. Zakrzewski, wydając pracę pt. „Mickiewicz w Wielkopolsce”. Obie publikacje już wyczerpane. Miłą niespodzianką dla wielkopolskich miłośników Wieszcz, w setną rocznicę jego śmierci, sprawił „Czytelnik”, dając nie „nudną” (zalety dla kogo!) naukową rozprawę, ale powieść opartą o autentyczne zdarzenia.

Pisze ją potomek rodziny Bojanowskiej, która pierwsza witała i żegnała Mickiewicza w Wielkopolsce. Autor oparł się na pamiętnikach rodzinnych. Zagadka, czy Mickiewicz nie przedostał się na drugi brzeg Prosy z powodu tego, że pływać nie umiał, czy dlatego, że był tam gęsto strażą, czy z powodu intryg Konstancji Łubińskiej — nie

zostaje w dalszym ciągu rozważana. Szkoda, że autor Gustaw Bojanowski potraktował tylko wzmiankowo pełen wrażeń pobyt Poety u Taczanowskich w Choryli.

Rękopis czyta się dobrze, napisany jest z dużą znajomością ludzi i stosunków ówczesnej epoki. Nie można tego powiedzieć o terenie. Temu, kto zna bliżej szlak Mickiewiczowski, nasuwa się wiele pytań,

KOKOT * Wspomnienie

Wiosenny dzień 1943 roku niczym nie różnił się od wielu poprzednich. Osowiała, zmęczona całodzienną harówką, włókłam się z Terenią tunelem Głównego Dworca. Terenia była córką naszych sąsiadów. Niedawno skończyła trzy-
naście lat i hitlerowski Arbeitsamt uznał ją za zdolnego do pracy „Knechta”. Dojeżdżałyśmy do tej samej fabryki. Mała, dzięki pomocy starszych robotników, nie musiała się przepracowywać. Była pogodną i miłą dziewczyną.

Byłam w tym dniu w wyjątkowo podłym nastroju i nie zważałam na szczebiot mojej współtowarzyszki, gdy naraz obydwie przystanęłyśmy zdumione. Przed nami stał żołnierz niemiecki i mówił coś szybko, z lekka się uśmiechając. Spod rydla czapki wyglądały jasne, poczciwe oczy. Mówił po polsku. Nie to jednak, jak mówił, ale co mówił wpawiło nas w osłupienie.

— Nareszcie na tym dworcu słyszę polską mowę. Chodzę tu od godziny i wyteżam słuch.

Widząc nasze wystraszone, zdziwione miny, dodał z uśmiechem:

— Kokot jestem. Ryszard Kokot. Ślązak.

To rozładowało trochę napiętą atmosferę. Nazwisko też było swojskie. Jakoś nie wypadło tak od razu się odezwać; poszłyśmy w stronę domu. Z nami żołnierz w hitlerowskim mundurze. Opowiadał o sobie. Mówił dużo. Znać było, że chce nas za wszelką cenę przekonać o swej polskości. Wracał z urlopu na front wschodni.

— Ale ich tam leją — powiedział w pewnym momencie ścisząc głos.

Terenia słuchała z otwartymi ustami. Mnie jednak trudno było wyzbyć się nieufności. „A może to prowokator?” — myślałam. Wstydziłam się też przechodzić. Wreszcie dobrnęliśmy do domu. Kokot — jak mówił — miał jeszcze 6 godzin do odjazdu pociągu. Po pewnym wahaniu zaprosiłam go na herbatę.

— Wszystko jedno, zaryzykuje — szepnęłam Tereni. — Gęba ma uczciwą.

Do naszego suterenu mieszkanca prowadził długi, ciemny korytarz. Drzwi otworzyła nam matka. Byłaby zemdlą z wrażenia.

— Jezus, Maria! — krzyknęła, biedną jak ścianą.

Tak, mundur Kokota nie usposabiał do przyjaźni. A jednak w ten wieczór Ryszard Kokot pozyskał przyjaciół. Ujął nas swą wiarą w zwycięstwo nad Hitlerem. Do Poznania słabo docierała jakaś prawdziwa ocena sytuacji na froncie. Rysiu — bo tak nazywaliśmy go pod koniec tego dziwnego wieczoru — nie zdawał sobie

nawet sprawy z tego, jakim cennym darem odpłacił nam goście.

Kokot zapoznał nas też ze swymi planami na przyszłość. Za podszewkę portfela chował ulotkę. Była drukowana po polsku i niemiecku. Zapewniała oddawcy, po przejściu przez front na stronę radziecką, możliwość bezpośredniego wcielenia do armii polskiej.

— Jest nas kilkudziesięciu — mówił. — Czekamy tylko okazji.

Żegnaliśmy Rysia, jak kogoś bardzo bliskiego. Matka błogosławiła go na drogę. Była to zresztą jej ostatnia radość w życiu. Zmarła w kilka tygodni po wyjeździe Kokota. Dostała skrzepu kiszki. Lekarz mówił, że z wycieńczenia. Okazało się później, że przez trzy lata oddawała nam swoje racje chleba. Matka była bardzo pobożna. Umierała przytomnie. Jednak jej ostatnie słowa nie były modlitwą.

— Żałuję, że nie doczekałam chwili, kiedy te psy będą uciekały — powiedziała wraz z ostatnim oddechem.

Od Rysia przyszła jedna karta z frontu. A potem już nic...

*

Pierwszy oddech wolności rozsadał piersi szaloną radością. Miasto było porządnie zniszczone, ludzie wymizerowani, głodni. A jednak ogrom pracy, którą trzeba było podjąć, nie przytłaczał. Ponoślił raczej. Przypinał skrzydła, podawał siły. Mieszkańcy miasta stawiali do pracy, nie pytając o zapłatę.

O zmierzchu, w jeden taki brzemienny radością dzień, przed nasz dom zajeżdżał nagle samochód ciężarowy. Wysiadło z niego kilku żołnierzy i ostrym krokiem weszło do kamienicy. Dom nasz był mocno zdewastowany. W oknach mieliśmy tylko małeńkie szybki z obrazów. Niewiele przez nie było można zobaczyć. Dostrzegaliśmy jednak, że wysiadający rozpawiają o czymś z wielkimżywieniem.

— Pewnie rewizja — powiedziałam do ojca.

W tym czasie jeszcze ukrywało się po ruinach i piwnicach wielu hitlerowców. Będąc w przejeździe na front w mieście Wojsko Polskie pomagało młodej milicji w ich wykrywaniu.

Ostre dudnienie po schodach dowodziło, że idą do naszych piwnic. Dziwne. Przecież tu z pewnością nie ma nikogo. A może? Przyszan, że śniała pukanie do drzwi trochę nas poderwało.

— Proszę — krzyknął ojciec.

Weszli hurmem. Na przedzie szedł niewysoki żołnierz. Przy-
stając na progu kuchni — za-
salutował.

— Sierżant Ryszard Kokot melduje się u matki.

A potem były łyzy i uściski. Była radość zaprawiona gorczą tęsknoty po tych, których zabrala wojna. Był wieczór triumfu wiary w człowieka.

Koledzy Rysia, też ślązacy, opowiadali, jak to Kokot zachęcał ich do wypadu na drugą stronę. „Tam w Polsce w nas wiera! — Nie możemy ich zawieść”. I nie zawiedli. Przeszli i zostali wcieleni do Kościuszkowskiej Armii. Idą na Berlin.

Diugo w noc przeciągnęło się to drugie z kolei pożegnanie naszego przyjaciela. Towarzyszyły mu wszystkie serdeczne myśli nie tylko naszej rodziny, ale i sąsiadów z całej kamienicy.

*

O Rysiu nie mieliśmy żadnej wiadomości przez wiele lat. Nikt z nas nie dopuszczał jednak myśli, że mógł zginąć. I nie myliliśmy się.

Wielu miłych gości z bliska i z daleka przysporzyły ostatnie Targi Poznańskie. Dla nas najmiłsze były odwiedziny Rysia. Nie znalazł nas na starym mieszkaniu. Rodzina się rozproszyła, powiększyła. Po dłuższym szukaniu trafił do mnie. Był z żoną. Jechali na wczas nad morze i zawadzili o Targi. Rysiu, jak jego ojciec, jest górnikiem. Inżynierem. Ko-
cha swój zawód, żonę i życie. W jego dobrych oczach mieszka nadal uczciwość. I jeszcze coś — szczęście. Wywalczył je sobie przecież.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Dobroduszny, szczekający „Harnaś”

W dniu 2. 10. 1955 roku odbyła się w Warszawie Ogólnokrajowa Wystawa Psów Rasowych. Na zdjęciu: owczarek podhalański — „Harnaś”

CAF —

Fot. Szyperko



Pochodzenie Samby

Poważniejsza niżby się
pozornie wydawało

W dzielnicach portowych Bahia, w górach dookoła Pernambuco, w miastach Porto Alegre i Rio aż po równiny Para, wzdłuż całego brazylijskiego wybrzeża — wszędzie tam spotkać się można z sambą. Narodziła się ona podobnie jak liczne inne pieśni i tańce brazylijskie pod wpływem muzyki Indian i Murzynów.

Schwytani w Maroku niewolnicy, którzy do połowy ubiegłego wieku sprzedawani byli tysiącami na rynek Brazylii, przywieźli ze swej ojczyzny tańce religijny, nazywany przez nich „maraca”. Za każdym razem, gdy morderca codziennie na pracę, straszliwy głód oraz bestialskie traktowanie przez dozorców doprowadzało ich do rozpacz — tańczyli przy wórze bandurów, czekoladów i cymbałów swój „maraca”. Było w tym tańcu wiele elementów z kultury religijnej, uosabiał on modlitwę i prośbę kierowaną do ich boga, aby dopomógł im znaleźć wyjście i dał pomoc w niedoli.

POPULARNOŚĆ SAMBY

Swą niezwykłą egzotyecznością i sugestijnością pociągają „maraca” również ludność białą, szczególnie pochodzenia portugalskiego, wśród której zyskała wielką popularność. Z kolei Portugalczycy i za nimi Hiszpanie włączyli do tego tańca elementy z muzyki swego kraju i w ten sposób wytworzył się nowy, pełen temperamentu taniec, który dzisiaj rozpowszechniony jest w całej Ameryce Łacińskiej. Obecna samba, szczególnie w Brazylii, posiada wiele swobodnych odmian, a wśród nich taniec Co-co oraz marsz karnawałowy, prowadzony przy wórze gitar, tamburynów i czekoladów. Ten ostatni jest właśnie typowym tańcem uzupełnionym piosenką, chociaż wszystkie pozostałe, oparte na tematyce i motywach pierwotnej samby, opiewają swą rytmiką i głosem najszersze dziedziny narodowego życia, pełnego prostoty i realizmu.

PIEŚŃ OPORU I WALKI

Wszystkie te pieśni poddają często ostre krytyce politykę wewnętrzną władz oraz wykrykają niesprawiedliwość społeczną, a słabym i biednym dodają otuchy. Nie zależnie od tych istniejących piosenek, w których rytmika sięga do dzieł kultury religijnej. Całe życie codzienne ludu brazylijskiego pełne jest muzyki, pieśni i tańca, a nowe motywy powstają z najprostszych przejawów dnia: z pracy, radości i smutków. Nie zresztą dziwnego. Temperament bowiem ludu brazylijskiego znajduje swe ujęcie w zabawach tanecznych, odbywanych na ulicach bądź placach publicznych. Jednym z najwzrostających popularnych miejsc, na którym zbierają się codziennie setki ludzi, aby razem śpiewać i tańczyć, jest „Plac XI-ty” w Rio de Janeiro.

W związku z szybkim rozwojem gospodarczym niektórych miast brazylijskich wzrastała w nich również ilość gmachów publicznych oraz pałaców patrycjuszów miejskich. Tak na przykład Rio de Janeiro szybko nabrało cech metropolii światowej i wiele wolnych

miejsce zostało tu zabudowanych. Podobny los miał spotkać również słynny „Plac XI-ty”. Władze municypalne Rio nosiły się z zamiarem odebrania ludowi owego miejsca i sprzedania go za wysoką cenę pod zabudowę.

LA PLAZA ONCE

Jako wyraz buntu i solidarności postawy przeciwko temu postanowieniu zrodziła się piosenka pod nazwą „La plaza once” (pl. XI-ty), pełna gorzkiej rozpacz i płomiennej oporu ludu, któremu zabiera się jedyną radość. Pieśń buntu zwyciężyła; władze zmuszone były zrezygnować z planu; wkrótce pojawiła się nowa piosenka, pełna nuty zwycięstwa i radości, znana pod nazwą „La nueva plaza once” (Nowy plac XI-ty).

Dalszym dowodem silnego powłazania życia ludu brazylijskiego z tańcem i piosenkami jest słynna samba pt.: „Nigdy stąd nie ustąpię”. Wielkie miasto brazylijskie Rio de Janeiro rozciąga się wąskim skrawkiem między morzem a górami. Stały jego rozrost pociąga, niestety, za sobą niebezpieczeństwo, że wypiera ich ludność na otaczające wzgórza. Przeciwnie temu przymusowemu wysiedleniu rodzin robotniczych, zmuszonych mieszkać w lepiących się na precyzyjnych do niedostępnego zboczy, powstała samba, pełna nuty protestu i głuchej rozpacz:

„...mam czworo dzieci, a wy chcecie mnie z domu wypędzić. Lecz ja będę bronić domu i stąd nie pójdę!”

Taka jest brazylijska samba, pełna tęsknoty, bólu, walki, radości, nadziei i miłości, wpleciona w muzykę i taniec brazylijskiego ludu. Jot.

Czy Marsjanie nadają sygnały?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

sygnał Siłpha, to — być może — nowa forma wegetacji tych zbiorowisk roślinnych.

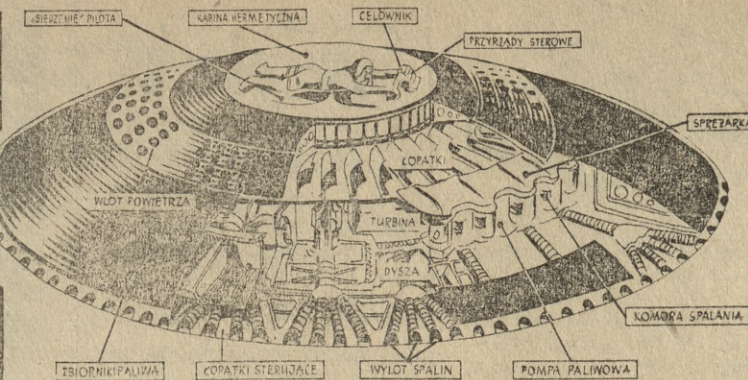
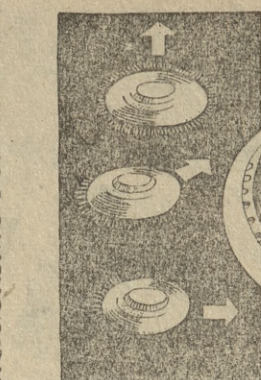
KANAŁY I KŁĘSKA POSUCHY

W roku 1877 cytowany Schiaparelli dostrzegł na Marsie „kanały”. Są to dla obserwatora ciemne prążki o uderzająco regularnych liniach, które w przyrodzie należą do nadzwyczajnych wyjątków. Do marsjańskiego „jezióra” Feniksa zbiega się np. aż 7 promieniście wyprowadzonych „kanałów”, uderzających prawidłowością przebiegu. Widoczność „kanałów” jest zmienna, sprawia to wrażenie, jak by okresowo wysychały. Zastanawiające, że wyraziłoby „kanały” zmienia się od razu na całej jego długości. Trzeba przyznać, że przywodzi to obraz działania jakiegoś ogromnego sił. Flammarijon dostrzegł nawet, jak obszar kontynentalny Utopii gwałtownie zamienił się w „morze”. Świadczyły o tym tożym o ogromnych pracach nawadniających, dokonywanych na Marsie, najwidoczniej w walce z kłęską suchego klimatu i braku wody.

Łodowce około-biegunowe, jedyną strefę, gdzie występują opady, sprawiają w tym świetle wrażenie kontrolowanych zasobników wody, tego podstawowego warunku podtrzymywania życia przez „Marsjan”, jakimi wyobrażają laików i również niektórych uczonych za ludźmi tajemniczą planetę. Nas, praktycznych mieszkańców Ziemi, dziwi jednak nonsens budowania kanałów o szerokości do 300 km. Wszak to samo zadanie spełniłyby kanały wielokrotnie węższe. Chyba że Marsjanie przekopali te kanały przy pomocy... energii atomowej, bo nie wiadomo, jak stara jest ich cywilizacja. Wybitne sławy i autorzy teorii naukowej, jak Flammarijon, Lowell, Pickering i inni obstają za załudnieniem Marsa przez istoty rozumne.

CZY KONIEC LEGENDY MARSJAN?

„Kanały” Schiaparelliego i następne domysły o załudnieniu Marsa napotykały na zrozumiałe sprzeciw wielu uczonych. Zwrócono uwagę na fakt, że „kanały” lepiej



Nowa premiera teatru Brechta

Przed kilkoma dniami odbyła się w teatrze „Berliner Ensemble” premiera sztuki pt. „Pauken und Trompeten” (Bębny i Werble). Jest to przeobrażenie Brechta ze sztuki „Wer beoffiziere”, której autorem jest pisarz irlandzki z 17 wieku, Farquhar. Brecht, modernizując sztukę, przenosi ją w drugą połowę 18 wieku. Treścią sztuki są perypetie oficerów, werbujących do angielskiej armii królewskiej żołnierzy na wojnę przeciw młodym Stanom Zjednoczonym. Gdy zawołał wszelkie metody dobrowolnej rekrutacji, zarządza się obowiązkowy pobór.

Na tle głównego tematu rozgrywa się intryga miłosna dwóch młodych par. Całość utrzymana w tonie satyrycznym, komediowym, ma bardzo jasną wymowę polityczną. W programie teatralnym przedstawienia czytamy: „Kolonialne wojsko Anglii, armia młodej amerykańskiej republiki

— dwa różne wojska, różni żołnierze. I dziś jak wtedy: naprzeciw wojsk imperializmu stoi od roku 1918 Armia Czerwona...”

Przedstawienie, starannie wyreżyserowane przez Benno Bessona, zagrane przez zespół aktorski, z piękną oprawą dekoracyjną Karla von Apensa i muzyką Rudolfa Wagner-Regeny spotkało się z życzliwym przyjęciem w berlińskiej prasie. Autor recenzji „Neues Deutschland” z dn. 28. 9. br. wyraża jednak zastrzeżenia, czy sztuka nie została nakreślona zbyt komediowo, czy ko-

mizm sytuacyjny nie przesłania elementów tragicznych.

Pochlebna recenzja z przedstawiła „Berliner Ensemble” zamieścił kilka dni temu zachodnio-niemiecki „Die Welt”. Autor recenzji pisze, iż mimo że na afiszu teatralnym nie ma nazwiska Brechta — zarówno tekst jak i reżyseria zdradzają jego rękę. Autor wyraża uznanie dla pełnych gracji, utrzymanych w stylu starego sztychu, dekoracji dla reżyserii „uczniwa Brechta” Bessona i gry zespołu z odtwórczynią głównej roli kobiecej Reginą Lutz na czele.

Ze starych szpargałów

Na kościńskim moście zwodzonym

Straszne to były czasy. Po wszystkich województwach wielkopolskich waleś się plugastwo szwedzkie, raubritterzy, chłwi łupu, nie liczący się z ludzką dola. Panowie, którzy dotrzywali wierności Janowi Kazimierzowi, uciekali na Śląsk. Magnaci pili z najeźdźcami. Wnuk sławnego Mikołaja z Nagłowic, także Mikołaj Rey, okrutny pan na Skokach i wielu wsiach, głośno i hucznie podejmował Jego Królewską Mość Karola Gustawa. Krzysztof Opaliński, co to pisarstwem się parał, a przed paru laty układał zdradę ze szwedzkimi posłami we Włoszakowicach za to, że nie dostało mu się starostwo, trzymał się również obcego wojska, a nawet swego brata do zdrady namawiał.

Nie lada łobuzem musiał być dzierżawca Szubina — Dobrogo Kurnatowski. Mieszczanie chcieli całą jego rodzinę roznieść na wiatrach. Kurnatowska z dziećmi schroniła się na Subskiej Wsi, a gdy wybuchła zaraza, uciekła do lasu. Prawie nago chodziła. Czworu dzieci tam jej zmarło. I we wiosce Welna dział się sąd boży. Kiedyś tam sółtys puścił z dymem pański dwór. Za to dzierżawca Wojciech Dobiejewski kazał spalić go na stosie. Nie zapomnieli chłopcy o swoim człowieku. Wespół z nieprzyjacielem szwedzkiem napadli dwór we Welnie. Zbili urzędnika. Żona dzierżawcy ledwo z życiem w przebraniu uciekła. Dwór i bliżsi kościół stały się łupem chłopskiej zemsty.

A mieli się chłopcy za co mścić! Przelatła się czarna krzywd. Panów ogarnął strach. Wiedzieli, że dać rusznice i szablę „chamskim” dloniom, to znaczyło przyszykować sobie pal. Cztery lata przedtem, w roku 1651, zbierało się już chłopstwo pod Królikowem, niedaleko Pyzdr. Machnęło tylko kłonicami, a poleciały w drzazgi zbrojny dwór J. O. X. biskupa poznańskiego w pobliskim Cieżeniu, niejedną pałac magnacki usiadłby na kupie gruzu i popiołu. Rotmistrz Grzybowski tu ich organizował przeciwko panom. Sam król Karol Ferdynand wysłał

Landratowi nie mogło być zimno w zamku kościńskim.

Szwedzcy żołnierze dbali o swego dowódcę. Przecież to Fryderyk Hessen-Eschweg — szwagier królewski! Jesień już. Najwyższy czas warownie opatrzyć w drzewo. Wozy obladowane wjeżdżały jeden po drugim. Most raz po raz podnosił się i opadał. Trzeba było czujnym, nie wiadomo gdzie ten Żegocki! Most opadł jeszcze raz. Wóz nie przejechał, bo koło rozsypało się. Szwed w bramie zdołał tylko wyciągnąć ostrze z długiej pochwy. Na moście już dzwoniły kopyta końskie. Nie zdążył się nawet zasłonić szablą, już przefrunęły nad nim brzuchy końskie. Nie miał kto dać rozkazów. Krzyżowały się tylko ostrza szabel, fruwały czapy. Żaden samopał nie zdążył wystrzelić. Potem ucichło. Most znówu podniósł się, a w bramie straż zaczął pełnić inny żołnierz, choć też w szwedzkim rynsztunku.

Wesoło wracał z polowania królewski szwagier. Wprawdzie zwierzenia nie podeszła, ale udała mu się inna. Łup z niedalekich wiosek. Będzie wspinała biesiada! Posłał kilku rajtarów, aby w mig most spuszczone. Nie wrócili. Z daleka usłyszeli jakieś bójki i krzyki. Sam popędził konia do fosy. Zaczął krzyczeć na szwedzkich żołnierzy. Nim zorientował się w sytuacji, z chat przedmieścia i od zamku zwałił się na niego Polacy. Wypaliły rusznice, błysnęły szable, chciał się bronić spada. Wtem padł mu kość i sam poczuł w łędwach gorący ołów. Czerwoną łuną zaszył mu oczy. Było to 4 października 1655 roku. Trzysta lat temu!

Wściekał się król szwedzki Karol Gustaw. Kłął po swojemu, targał broń i zaprzysięgał zemstę. Za ulubieńca, za krewniaka. Lecz nie zmierzył mu się z takim jastrzębiem, jak Żegocki, co spada jak kamień, wybiera mu najlepszych wojaków i znika. A jeszcze gorzej od ostrza spadły i od ognia rusznicy okazała się wieść o porażce kościńskiej. Obiecała wszystkie żołnierskie dusze. Szwed zaczął się bać własnego cienia. Od porażki kościńskiej zaczęły się niepowodzenia wielkiej armii Karola Gustawa. Żegocki zostawił pusty zamek kościński, sam pociągnął w inne strony. W styczniu już oblegał Wieluń. Pomagał mu porucznik Czarny, rzekomo ze Stawiszyna. Czarny z kilkoma knechtami zaciężnymi dostał się do miasta, bramę otworzył, sprzątnął straż.

Potem starosta babimojski pojechał pod Częstochowę. Razem z nim nadciągnął tam wojewoda ruski — Stefan Czarnecki. Generał Müller wolał zwinąć obóz spod jasnogórskiego klasztoru niż zetknąć się z tymi wojakami.

„Latający talerz”

● Pionowy start
● Wielka szybkość i niezwykła zwrotność
● Duża szybkość wznoszenia do pułapu ok. 20.000 metrów — oto, co spędza sen z oczu konstruktorom lotniczym. Współczesne samoloty odrzutowe spełniają wprawdzie niektóre z tych postulatów, jednakże do najpoważniejszych wad, jakimi są one mimo wszystko obdarzone, należą: długi start i lądowanie (rozbieg i dobieg dochodzą do kilku kilometrów). Związane są z tym wysokie koszty budowy lotnisk. Klasyczne odrzutowce przy dużych szybkościach, jakie osiągają, są równocześnie zbyt mało zwrotne.

Kanadyjski konstruktor lotniczy Thomas Turner spodziewa się rozwiązać te zagadnienia w projektowanym przez siebie „latającym talerzu”. Ma on być zaopatrzony w ciekawy silnik odrzutowy, w którym sprężarkę stanowi pierścien obracający się dookoła kabiny pilota. Jej łopatką tłoczą sprężone powietrze do współrodkowo rozmieszczonych komór spalania. Wypływające z nich gazy spalinyowe kierowane są, zależnie od tego, czy „talerz” ma lecieć w górę, w przód lub w tył — do części lub do wszystkich dysz wylotowych, rozmieszczonych na krawędzi „talerza”. Konstruktor spodziewa się, że „latający talerz”, obok dużej szybkości i zwrotności, będzie odznaczał się dużą statecznością lotu. (R)

Jak to było w czas POTOPU



KŁOPOTY NUDYSTÓW

W jedną z ostatnich niedziel lata, urządził nudyści angielscy doroczny kongres, na którym jak zwykle, pojawili się w swoim tradycyjnym „stroju”. Głównym tematem ich burzliwych obrad była sprawa ubezpieczenia zrzeszonych członków od wypadków, ponieważ wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe odmówiły im wystawienia polis. Gdy wreszcie zbliżył się wieczór sprowadził chłodek na rozpalone umysły i... ciała, nudyści postanowili zawiązać własne towarzystwo ubezpieczeniowe, które obejmie nie tylko wypadki porażeniowe lecz również od... przeziębienia!

ŚRODEK NA GRYPE

Dyrekcja kantonalnego szpitala w szwajcarskiej miejscowości Neuenburg wynalazła — jak twierdzi — niezawodny środek zapobiegający epidemii grypy. Mianowicie, gdy ostatnie nasilenie zachorowań grypowych wśród mężczyzn osiągnęło nienotowane do tej pory szczyty, kierownictwo szpitala zastąpiło ordynujące siostry Czerwonego Krzyża sanitariuszami z armii szwajcarskiej. Po kilku dniach wszyscy pacjenci w tzw. siłę wieku, opuścili dobrowolnie łóżka szpitalne.

Suszona szczepionka

Poznańscy mikrobiolodzy opracowali nowy sposób konserwacji i przechowywania szczepionek w postaci suchej. Sposób ten zwany „liofilizacją”, polega na wyrażaniu szczepionek pod niskim ciśnieniem. Dzięki nowej metodzie konserwacji mikroorganizmów szczepionka przeciwgruźlicza BCG nie zmienia swego składu już po dwóch tygodniach, jak to było dotychczas, ale zachowuje swoją wartość leczniczą przez długie lata.

Dr Włodzisław Krzyżaniak



JÓZEF HAŁĘGOWSKI

odwiedziny Ciotki

(Z LIŚCÓW WIKTORII BZDUŃSKIEJ)

W życiu, jak mówi przysłowie: „człowiek raz jest na wozie, raz pod wozem”. Tak się i nam zdarzyło, że w ubiegłym tygodniu byliśmy pod wozem, bo przyjechała ciotka Cecylia. Od pierwszych chwil zorientowaliśmy się, że nadchodzi nieszczęście, choć ciotki jeszcze widać nie było. Leżymy sobie z Józkiem w oknie na poduszkach, aż tu nagle — dzwonek! Ale jaki dzwonek — przeraźliwy! Józek się porwał, twierdzi, zobaczył ciotkę, pomyślał się, pomógł wnieść walizkę do domu, a dzwonek wciąż dzwoni. Taką już ciotka ma nieszczęśliwą rękę, że, kiedy dotknęła dzwonka — wduśnięta go na amen! Nie chciał przestać dzwonić. Józek na próżno dukał nożem, dmuchał, bił młotkiem — nie pomagało... Można było odciąć baterijkę, ale u nas w całym domu jest tylko jedna drabina u sąsiadów, a oni tymczasem wyszli na spacer. Nie pozostawało nic innego, jak czekać aż się baterijka wyląduje i dzwonek ucichnie. Nic dziwnego, że rozmowa się jakoś nie kleiła, dzwonek hałasował okropnie i nikt własnych słów nie słyszał. Ciotka po godzinie wpadła na pomysł, żeby włożyć waty do uszu i nie przejmować się dzwonkiem. Zrobiliśmy to — pomogło. Ale tylko jednostronnie. Dzwonka słyszał wprawdzie nie było, lecz ciotki również, chociaż opowiadała coś bez przerwy. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy dzwonek ucichł: ciotka gadała dalej, a Józek był wniebowzięty, że słuchać nie potrzebuje. Dowiedzieliśmy się nazajutrz, że w tym czasie odwiedzali nas również znajomi, stukali podobno, ale nikt nie otwierał. Opowiadali potem, że to złośliwie, bo słyszał było, że w pokoju ktoś głośno rozmawiał. Oczywiście obrazili się na dobre. Ciemno się już zrobiło, kiedy zauważyłam, że Józek smacznie zasnął, mimo że widziałam, że ciotka opowiada nadal. Kopnęłam go pod stołem i obudziłam. Następnego dnia postanowiliśmy pokazać ciocie najnowsze zdobycze Poznania. Poszliśmy oczywiście do PDT-u. Zaczęliśmy obchodzić kolejno wszystkie piętra od dołu, bo ciotka chciała zobaczyć Poznań „z lotu ptaka”, ale kiedy na trzecim piętrze podłoga zaczęła nagle trzeszczeć, — ciotka wpadła w popłoch i nim zdążyliśmy się zorientować, była już dwa piętra niżej. Kiedy ją dopędziliśmy, zaczęliśmy przekonywać, że to nie groźnego, bo podłoga

trzeszczy już wiele miesięcy i nikt się tym nie przejmując — nawet dyrekcja. Ale ciotka za nic nie chciała już wejść do Okraglaka, twierdząc, że wie co to znaczy, kiedy się dom zawali, bo była na filmie „Rzym, godzina 11”. Najedliśmy się wstydu! Ludzi się wokoło zgromadziło tyle, że Okraglak wyglądał jak w dniu otwarcia, a fotografowie zaczęli robić zdjęcia na pocztówki. Z trudem wydostaliśmy się z ciżby. Wieczorem chcieliśmy pójść do kina „Letniego”. Ciotka usłyszawszy, że jest kino letnie



powiedziała, że ona lubi gorące — zapakowała do torby butelki z wrzącą wodą, koc, pelerynę i obładowała tym Józka. Potem zabrała jeszcze parasol, żeby w kinie pod gołym niebem nie zmoknąć i ruszyliśmy. Wieczór był pochmurny. W chwilę po rozpoczęciu się filmu lunął deszcz. Ludzie zaczęli uciekać, kasjer zwracał pieniądze za bilety, a ciotka nie. Nie chciała zwrotu. Muśnięta film wyświetlać dalej. Z nogami w torbie na gorących butelkach, owinięta peleryną, z parasolem nad głową triumfowała: — A nie mówiłam, że warto się przygotować? Wstydziliśmy się odejść, choć deszcz lał obficie. Przez półtorej godziny z trudem tłumiliśmy szczykowanie zębami, a po powrocie do domu dostaliśmy silnej gorączki. Teraz leżymy w łóżkach, pijemy ziółka, pozwolimy sobie stawiać banie — wszystko dla świętego spokoju.

Chociaż, jaki to tam spokój — ciotka gada bez przerwy.

WIKTORIA

W ZOO

BOCIAN — dobra wymówka dla wielu matek.

BARAN DOMOWY — (ovies ovies) — daje sobie z łatwością przypisać rogi. Typ dość pospolity.

KRET — znajduje przyjemność w kopaniu dołków pod bliźniemi.

TCHÓRZ — poci się ze strachu przy byle okazji, wydzielając przy tym przeraźliwe zapachy. Zmora naszego życia.

WIELBŁĄD — ma jeden wielki błąd (garb), lecz wiele zalet: daje mleko, sierść i potrafi długo obywać się bez wypitki (co nie każdemu z nas się udaje).

MAŁPY — kręgowce spotykane również poza ZOO. Warto zauważyć, że tzw. „matpy nowego świata” tj. małpy amerykańskie dzielą się na: wyjce (wyjął godzinami o upadku demokracji i końcu świata), pląksy (zrozpaczone eksdziejczki), małpiatki i matpeczki czyli matolki (nazwa nie wymaga komentarzy).

ERJOT

Traszk

O PEWNYM SATYRYKU

W swoich satyrach,
rzeczyć to niezwykła,
sam sobie służy
jako zły przykład.

KONTROLER TECHNICZNY

Gdy na wczasach złamał nogę
nazwał matkę... brakorobem.

RYSZARD PODLEWSKI

O JEDNEJ

Nie zaprzeczam wcale,
sprawy nie zawężam:
owszem, zdradzasz talent,
ale częściej męża.

O PEWNEJ DAMIE

Słuszną całkiem fama —
słuszną — jako żywo!
To wpływowa dama!
Dzięki cudzym wpływom!

WIECZNEJ EWIE

Ty moja wieczna Ewo!
Może nas kara minie?
Uschło jabłoni drzewo —
kup nam owocu w płynie.

WŁODZ. SCISŁOWSKI

NOGA

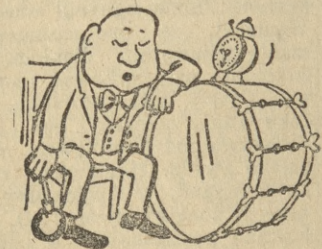
Królewskie Towarzystwo Naukowe w Londynie odmówiło przyjęcia w poczet swoich członków wybitnego botanika ubiegłego wieku dr. Hilla. Rozgoryczony uczony postanowił ośmieszyć członków Towarzystwa. Na ręce sekretarza wysłał on anonimowy list, w którym podając się za prowincjonalnego chirurga, opisał następujące wydarzenie:

„Pewnego dnia zgłosił się do mnie z prośbą o pomoc marynarz ze zranioną nogą. Po przewiązaniu nogi nałożyłem na opatrunek większą porcję smoły. Chory od razu poczuł się lepiej i w krótkim czasie mógł już chodzić.”

List wywołał duże zainteresowanie członków Towarzystwa i został wydrukowany w wielu dziennikach, gdyż w tym samym czasie pewien angielski biskup opublikował pracę wskazującą na ogromne właściwości lecznicze smoły. W ożywionej dyskusji na łamach czasopism oraz sesjach Towarzystwa brali udział jego najwybitniejsi członkowie.

W momencie gdy dyskusja osiągnęła szczytowy moment napięcia Towarzystwo otrzymało od „prowincjonalnego” lekarza króciutki liścik:

„W moim poprzednim liście zapomniałem zaznaczyć, że zraniona noga mego pacjenta była drewniana.” (JK)



Symfonia z uderzeniem w kotły („Unser Rundfunk”)

W REDAKCJI ZACHODNIO-NIEMIECKIEJ



Rys. Peter Dittrich
— Ale pan sam zapowiadał, że będę mógł opublikować coś sensacyjnego o ruchu podziemnym Moskwy..

Edmund Knopkiewicz

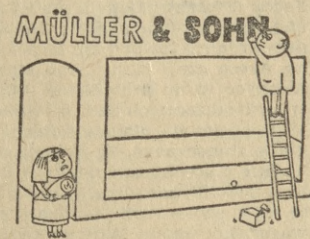
Wirtuoz

Tłok u fryzjera był,
atoli
wpadłem do niego
by się ogolić.
Fryzjer z natchnioną twarzą Feba
w mig ogoliwszy, rzekł:
— Strzyc... trzeba?
Chciałem powiedzieć, że nie,
lecz on
już ogolocił z włosów mą skroń.
Przy tym o myciu mówił.
Ze zdrowe.
Gdy mu przytaknął — zmył mi głowę.
Zmywszy uprzejmie zapytuje:
— Może pan trwałą chce?
— Dziękuję.
— Proszę uprzejmie.
— Już się robi.
I mistrz się zwija, mistrz się drobi.
Wnet pod suszarki hełm mnie chowa
i... nie pozwala dojść do słowa.
W sercu odczuwam wściekłość wileczą.
Lecz dusza drzemie.
Usta — mileczą.
— Już trwała — rzekł mistrz — jest gotowa.
Patrzę, a w lustrze... owcza głowa.
— Dość! — wykrzyknąłem z gniewu siny. —
Za stary jestem na takie kpiny.
— Stary się czuje pan dobrodziej?
Masażyk pana wnet odmłodzi.
Tu zajął cery się ratunkiem.
Mdleję.

Ocuł mnie! — Rachunkiem.



— O jakich oknach pani mówi?!



Humor niemiecki

— Bardzo mi przykro, panie Müller, ale niestety jest córka.



— ...a w następnej audycji pokażemy paniom, w jaki sposób maseczkę kosmetyczną się zdejmuje.

REKLAMA

Niezwykły sposób oszczędności wynalazł jeden z amerykańskich producentów napoi alkoholowych zwracając się do nabywców w ten sposób:

„Jeżeli nie możesz wstrzymać się od picia, zorganizuj sprzedaż whisky u siebie w domu. Daj żonie 55 dolarów, za które kupi ona skrzynkę wódki. Za każdy kupiony u niej kieliszek zapłać 60 centów, w ten sposób zarobi ona na czysto 89 dolarów, które złoży do banku. Ponieważ skrzynka whisky wystarczy zaledwie na 12 dni, w ciągu dziesięciu lat picia zarobi ona na tobie 27 085 dolarów.

Za te pieniądze będzie w stanie pochować ciebie, wychować dzieci, spłacić dług, wyjechać drugi raz za mąż i w końcu zapomnieć o tym, że kiedykolwiek żyłeś na tym świecie.

Producent jednak zapomniał podać w jaki sposób zarobić na sa-

Pewnego razu

...znany niemiecki dramaturg Gerhard Hauptmann, przechadzając się w sioneczny dzień po Berlinie, zamyślił się nad czymś głęboko. Nagle od orszaku przejeżdżającego obok, odłączył się jeden jeździec i zatrzymał konia przed Hauptmannem krzyknął: — He, wy! Nie widzieliście, że Jego Królewska Wysokość przejechał obok was? Czyż nie można było zdjąć czapki?

Hauptmann spokojnie popatrzył na rozdrażnionego kaprała i rzekł: — Aha, znaczy, nie odłożyłem się mu? Bardzo przepraszam.



HUMOR ZACHODNI

— Bzdura, to wcale nie bocian, ale pan Lindemann, przyjaciel naszego domu.